

WIELKA BIBLIOTEKA

NR. 128

GERHART HAUPTMANN

# HANUSIA

PRZEŁOŻYŁA

MARJA KONOPNICKA



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«

# «WIELKA BIBLIOTEKA»

## ARCYDZIEŁA LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ.

- Nr. 1. Z. Krasiński: „IRYDJON“  
„ 2. A. Mickiewicz: „KONRAD WALLENROD“  
„ 3. St. Wyspiański: „WESELE“  
„ 4. A. Dante: „BOSKA KOMEDJA“ I. Piekło  
„ 5. „ „ „ „ II. Czyściec  
„ 6. „ „ „ „ III. Raj  
Przekład E. Porębowicza  
„ 7. J. Słowacki: „ANHELLI“  
„ 8. J. Kochanowski: „TRENY“  
„ 9. J. Kasprówic: „HYMNY“  
„ 10. I. Krasicki: „SATYRY“  
„ 11. K. Brodziński: „WIESŁAW“  
„ 12. W. Shakespeare: „KRÓL LIR“  
Przekład J. Kasprówicza  
„ 13. H. Rzewuski: „PAMIĄTKI SOPLICY“  
„ 14. J. Gordon Lord Byron: „DON JUAN“ T. I.  
„ 15. „ „ „ „ T. II.  
Przekład E. Porębowicza  
„ 16. J. Słowacki: „W SZWAJCARJI“  
„ 17. A. Mickiewicz: „PAN TADEUSZ“  
„ 18. C. K. Norwid: „PROMETHIDION“  
„ 19. A. Mickiewicz: „GRAŻYNA“  
„ 20. A. Fredro: „ZEMSTA“  
„ 21. W. Syrokomla: „URODZONY JAN DEBORÓG“  
„ 22. H. Ibsen: „PEER GYNT“. Przekł. J. Kasprówicza  
„ 23. „ „ „BRAND“. Przekład J. Kasprówicza  
„ 24. Z. Krasiński: „NIE-BOSKA KOMEDJA“  
„ 25. J. Słowacki: „LILLA WENEDA“  
„ 26. J. U. Niemcewicz: „POWRÓT POSŁA“  
„ 27. J. I. Kraszewski: „DZIECIĘ STAREGO MIASTA“  
„ 28. A. Fredro: „ŚLUBY PANIENSKIE“  
„ 29. W. Syrokomla: „UŁAS“  
„ 30. J. U. Niemcewicz: „ŚPIEWY HISTORYCZNE“  
„ 31. J. Słowacki: „JAN BIELECKI“  
„ 32. F. Schiller: „DZIEWICA ORLEAŃSKA“  
„ 33. A. Asnyk: „ALBUM PIĘŚNI“  
„ 34. C. K. Norwid: „KRAKUS — WANDA“  
„ 35. J. Słowacki: „BALLADYNA“  
„ 36. J. Korzeniowski: „KARPACCY GÓRALE“  
„ 37. J. Słowacki: „OJCIEC ZADZUMIONYCH“  
„ 38. St. Wyspiański: „WARSZAWIANKA“  
„ 39. St. Witkiewicz: „MICKIEWICZ JAKO KO-  
LORYSTA“  
„ 40. K. Ujejski: „SKARGI JEREMIEGO“  
„ 41. A. Mickiewicz: „DZIADY“  
„ 42. J. Kochanowski: „PIĘŚNI“  
„ 43. S. Pellico: „MOJE WIEZIENIA“

HANUSIA

GERHART HAUPTMANN

# HANUSIA

PRZEŁOŻYŁA

MARJA KONOPNICKA



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

930.85(438):28(62)/109/:322(438)109/  
Hau... SL 11 b 2  
Harusia.  
  
375 br.

409710  
I

D-76/3660  
30.3. CB.-J



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Zakłady Graficzne Inst. Wydawniczego „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy



## OSOBY:

HANUSIA

GOTTWALD, nauczyciel wiejski

SIOSTRA MARTA, diakonisa

PIWONJA

HETA

PLESZKE

HANKE

} mieszkańcy domu ubogich

SEIDEL, drwal

BERGER, wójt

SZMIT, stróż domowy

Dr. WACHLER

W gorączkowem widzeniu ukazują się Hanusi:

Mularz Mattern, jej ojciec. — Postać kobieca, jej zmarła matka. — Wielki czarny anioł. — Trzy jasne anioły. — Diakonisa. — Gottwald i dzieci ze szkoły wiejskiej. — Mieszkańcy przytułku: Pleszke, Hanke i inni. — Seidel. — Czterech młodzieńców w bieli. — Nieznajomy. — Chóry jasnych, małych i dużych aniołów. — Orszak pogrzebowy. Kobiety.

## CZEŚĆ PIERWSZA.

*Wieś górską. — Izba w domu ubogich. Nagie ściany, drzwi w pośrodku, na lewo małe okienko z drobnymi szybami. Pod niem koszlawy stół i ławka. Na prawo tapczan i siennik na nim. W głębi u ściany piecyk, ławka i drugi tapczan, na którym także siennik i nieco łachmanów. Burzliwa noc grudniowa. U stołu, przy świetle łożowej świecy śpiewa z książki od nabożeństwa*  
PIWONJA, stara, obdarta żebraczka.

PIWONJA: *(śpiewa)*

Tak bądź nam ku pomocy,

Ty, Panie Jezu Chryste!

Ach, wybawże nas z mo.....

*(wchodzi HETA, około trzydziestu lat mieć mogąca, niewarta dziewczka, z grzywką. Na głowie gruba chustka, pod pachą tobolek, zresztą lekko i biednie odziana)*

HETA: *(chucha w ręce, nie puszczając tobolek z pod pachy)* O Jezu, Jezu! A to psi czas! *(wypuszcza na stół tobolek, ciągle chuchając w ręce i zgrabięte przydeptując sobie naprzemian nogi, obute w podarte trzewiki)* Już też dawno nie było takiego zimniska!

PIWONJA: Cożeś tam przyniosła?

HETA: *(syka przez zęby i piszczy z bólu, siadłszy na ławce przy piecu, gdzie usiłuje ściągnąć przemokłe trzewiki)* Aj!... Aj!... Moje palce! A to piecze, jak ogień!

PIWONJA: *(rozwiązała tymczasem tobolek, w którym widać chleb, paczkę cykorji, tutkę kawy, parę pończoch i inne rupiecie)* Toć ta przecie może i dla mnie co skapnie...

HETA: *(zajęta ściąganiem trzewików, nie zważała na Piwonję; teraz rzuca się, jak jastrząb, na swoje manatki i zgarnia je razem)* Piwonja! *(jedną nogą bosą, drugą jeszcze w trzewiku, biegnie z tobołkami do tapczanu w głębi)* Akurat! Jeszcze czego! To milę drogi będę latała, prawda? Jak pies, będę marzła, prawda?... Żeby wam podtykać! Co?

PIWONJA: Zamknij gębę, stare pudło! Będę ci się tam łakomiła na tę trochę łachów, coś je wyżebrała po świecie! *(wstaje, zamyka książkę i ociera ją starannie o spódnice)*

HETA: *(pakując manatki pod siennik)* Ciekawam, kto się więcej nażebrał? Ja, czy wy? Przecieżeście nic innego nie robili od samej małości, przez caluśki wiek! Mały, duży wie!

PIWONJA: A ty się i na co insze puszczałaś! Wiesz? Co ci to proboszcz powiedział? Co? Inaczej ja się trzymała, kiedyś młodą dziewczką była!

HETA: A jużci! Nie czemużeście w kwestunku siedzieli.

PIWONJA: Siedziałam, to siedziałam! A ty możesz się tam jeszcze dostać, kiej chcesz! Wiesz? Niech ja się jeno kiedy ze żandarmem zejde! Już ja jemu świeczkę w rękę wsadzę! Zobaczysz! Mówię... dziewucha, stul gębę, pókim dobra!

HETA: Taak?... No, to za jednym zamachem i do mnie żandarma przyślijcie! To i ja mu co powiem!

PIWONJA: A gadaj sobie, flądro, co ci się spodoba!

HETA: A kto szynkarzowemu chłopakowi palto ukradł, he?

*(Piwonja zamierza się, jakby chciała plunąć na Hetę)*



HETA: Piwonja!... Pssia... *(widząc, że nie pluje)* No! Przecie!

PIWONJA: Poszła won! Nie potrzebuję twojej darowizny!

HETA: A jużci! Bo wam też nic nie dam!

*(przybywają: PLESZKE i HANKE, wpędzeni niemal w podwórkę zawieją, która się z nową siłą nad domami zerwała. Pleszke, stary, dziecienniasty jakąś w łachmanach, z wolem na gardle, wybucha głośnym śmiechem. Hanke, młody szubrawiec i próżniak, klnie. Przez drzwi otwarte widać, jak obaj strącają w podwórku śnieg z czapek i odzieży.*

*Każdy z nich ma sakwy)*

PLESZKE: O reta! O reta!... A to ci siecze, jak dja — djabli! J—j—eno patrzeć, jak się cc—cała buda rozwali. T—t—tak, roz—rozwali, do licha!

*(Heta namyśla się przez chwilę, patrząc na przybyłych, potem wyciąga szybko manatki z pod siennika, pędem przebiega z tobołkiem mimo mężczyzn i wpada na prowadzące pod strych schody)*

PLESZKE: A t—t—ty co? Czego uciekasz? Przecie cię—cię tu nikt nie z—z—z—zje. Prawda, Hanke? Co?

PIWONJA: *(zatrudniona u piecyka gotowaniem kartofli)* Leci, bo głupia! Myśli, że jej tu kto porwie jej łachy!

PLESZKE: *(wchodząc)* O Jezu! Jezu! Oj, świecie! A t—t—to ci dmie! Niech b—będzie pochwalony! T—t—tak! A djabli, d—d—d—jabli! To ci wichura! To ci wi—wi—wichura! Su—s—su—suchej nitki na człowieku ni—niema.

*(sztykuta pokrzywionemi nogami do stołu, kładzie na nim sakwy i obraca drżącą głowę siwą i kaprawe oczy na Piwonję, co czyniąc, ciągle jeszcze kaszle, dyszy dychawicznie i bije się rękami po bokach na rozgrzewkę. Tymczasem wszedł*

do izby HANKE. Sakwy u drzwi postawił, prosto do pieca drząc od zimna poszedłszy, suchy chróst pakować w niego zaczął)

PIWONJA: Skądże idziesz?

PLESZKE: Ja...? Ja—j—a—s—s—skąd ja i—i—idę? Oj, z—z—zda—da—leka. C—c—całe—ca—całem Górki obleciał!

PIWONJA: A przyniosłeś też co?

PLESZKE: B— — — b—ba! I nie, nie byle co! U organisty—m do—do—dostał piątaka! Tak! P—p—piątaka! A u karczmarz—rz—rz—rza tom dos—s—stał garnek r—r—rosołu! Tak! Ga—ga—garnek rosołu!

PIWONJA: Dajże, to zagrzeję! (*wyciąga z tobołka garnek obwiązany, stawia go na stole i grzebie w taborku dalej*)

PLESZKE: A je—je—jeszcze, tak. Jeszczem—m—m dostał kielbasy! Rze—rzeźnik Teipel, rz—rz—rzeźnik dał.

PIWONJA: A pieniędzy dużoś przyniósł?

PLESZKE: Trzy—trz—trzy trojaki, widzi mi się. T—t—tak, trzy trojaki!

PIWONJA: Dajże, to schowam!

HETA: (*powraca*) A z was też głupi, tak wszystko dawać!

PIWONJA: Patrz swego nosa! O! Widzicie ją!

HANKE: Przecie się będą żenić.

HETA: Oj, bieda z głupimi, bieda!

HANKE: To musi przecie kawaler coniebądź pannie przynieść. To już tak jedno do drugiego pasuje!

PLESZKE: A a—a—a—ty m—m—możesz sobie z—z—z młodszych kpić! A—a a—a staremu spo—po—pokój dać!

HETA: (*podrzeźnia*) S—s—Pl—Pl—Pleszke—to—to to już niedług—go nie będzie mógł się wcale wyga—ga—dać! A a a ni—słów—w—wecz—cz—ka wykrz—krz krztusić!

PLESZKE: *(porywa się na nią ze szczydłem)* A—ale teraz stul gębę!

HETA: Przed kim będę gębę stulać?

PLESZKE: A—a—ale t—t—teraz s—stul gębę!

PIWONJA: Jest! Znów co nowego!

PLESZKE: S—s—tul g—g—gębę!

HANKE: Iii! Dajcie spokój, stary.

PLESZKE: T—t—ty daj spokój!

*(Heta za plecami Hankego, który się za nią przed dziadem stawia, wyciąga mu coś z worka, przewieszzonego przez ramię. Widzi to Piwonja i parska śmiechem)*

HANKE: Tu się niema z czego śmiać!

PIWONJA: *(śmiejąc się ciągle)* Ale!... Nie ma się tu człowiek śmiać!

PLESZKE: O Jezu! Jezu! Papapapatrzej ino!

PIWONJA: A popatrz ino we worek! Bo jakoś mniejszy.

HANKE: *(obraca się i spostrzega, że jest ograbiony)* A szelma dziewczka! *(wybiega za nią)* Niechno ja cię złapię! *(słysząc tupot po schodach, gonienie się i zduszone wrzaski)*

PLESZKE: D—d—djabeł nie dziewczka! D—djabeł n—nie dż—dż—dż—dziewka! *(śmieje się na różne tony do rozpuku. Piwonja zanosz się także od śmiechu. Nagle słysząc uderzenie w uszak drzwi, silnie pchniętych. Oboje śmiać się przestają)*

PLESZKE: A—a—a—a—to co?

*(Wściekła wichura wstrząsa węglami domu. Ziarnisty śnieg bije w szyby. Chwila ciszy. Teraz ukazuje się nauczyciel wiejski GOTTWALD, trzydziesto dwuletni, z czarnym zarostem mężczyzna, niosąc na ręku czternastoletnią HANUSIĘ MATTERN. Dziewczyzna jęczy z cicha. Długie jej, rude, rozpuszczone włosy spadają na plecy nauczyciela. Twarz Hanusi przytulona do szyi Gottwalda. Ręce jej i ramiona*

wisząc bezwładnie, omdlałe. Naprędce tylko odziana i otulona chustką. Nauczyciel ostrożnie opuszcza swój ciężar na łóżko, stojące po prawej stronie u ściany. Zdaje się on nie widzieć obecnych i nie troszczyć się o nich. Drwal SEIDEL wchodzi za nim z latarką. Prócz piły i siekiery niesie Seidel zawiniątko mokrych łachmanów. Na głowie ma zniszczony strzelecki kapelusz)

PLESZKE: (wodząc po przybyłych oczyma tępo i bezmyślnie) Hee—hee—hee—hee! A to znów c—c—co się stało? Tak—tak! Co się z—znów stało?

GOTTWALD: (otulając Hanusię kołdrą i własnym płaszczem) Grzać kamienie... Seidel... prędzej!

SEIDEL: Allons! Allons! Parę cegieł! Allons! Allons! Zawsze się coś znajdzie!

PIWONJA: Co się to takiego stało?

SEIDEL: I... Co tam pytać! (wychodzi. Baba drepcze za nim)

GOTTWALD: (uspakajającym głosem do Hanusi) Już cicho! Już się nie bój! Już dobrze! Już ci się nic złego nie stanie!

HANUSIA: (szczękając zębami) Tak się boję!... Tak się boję!...

GOTTWALD: Nie bój się, dziecko, nie! Nie masz się czego bać! Nikt ci tu nic złego nie zrobi!

HANUSIA: Ale ojciec... Ojciec...

GOTTWALD: Ojca niema.

HANUSIA: Tak się boję... jak ojciec przyjdzie...

GOTTWALD: Ale nie przyjdzie, mówię ci, nie! Możesz mi wierzyć. (słychać szybkie zbieganie po schodach)

HETA: (trzymając tartkę w podniesionej ręce) No, patrzcie! Patrzcie tylko, jakie to prezenty dostaje Hanke! (Hanke goni ją, dopędza, szamocze się z nią i chce wyrwać tartkę, którą Heta szybkim ruchem na środek izby ciska)



HANUSIA: *(zrywa się w najwyższej trwodze)* Idzie!  
Idzie!

*(współpodniesiona, z wyciągniętą w kierunku hałasu głową, patrzy z wyrazem przerażenia w chudej, wynędzniałej twarzyczce. HETA wyrwała się z ramion Hankego i do komory wpadła. HANKE wchodzi do izby i podnosi tartkę)*

HANKE: Już ja cię umaluję! Wiedźmo ty!

GOTTWALD: *(do Hanusi)* Nic! Nic! Cicho, Hanusiu, cicho! *(do Hankego)* Czego tu chcesz!

HANKE: *(wytrzeszcza głupkowato oczy)* Ja? Czego, niby, ja chcę?

HETA: *(wytyka głowę z komory i woła)* Porwisz! Porwisz!

HANKE: *(grozi jej kulakiem)* Milcz, bo ci gnaty połamię!

GOTTWALD: Proszę o spokój! Tu chora leży!

HANKE: *(podniósł tartkę i za pazuchę wsadził, oniesmielony trochę)* Cóż tu się zrobiło?

SEIDEL: *(powraca, niosąc cegły)* Te dwie tymczasem...

GOTTWALD: *(dotyka cegieł, próbując)* Gorące już?

SEIDEL: A grzeją trochę! *(podkłada jedną pod nogi Hanusi)*

GOTTWALD: *(wskazując inne miejsce)* Druga tutaj!

SEIDEL: Jak lód dziewczyna.

GOTTWALD: Febra ją formalnie trzęsie.

*(za Seidlem wsunęła się PIWONJA, za nią PLESZKE i HETA. We drzwiach izby ukazują się zagadkowe postacie innych mieszkańców przytułku. Na wszystkich twarzach ciekawość. Zrazu szepczą, potem szmer rośnie, a ludzie bliżej się w izbę cisną)*

PIWONJA: *(najbliżej łóżka; ręce w boki wparte)* Żeby tak wódka była, a z wodą zagrzać!

SEIDEL: *(wyciąga butelczynę; tak samo Pleszke i Hanke)* Zawszeć będzie z naparstek.

PIWONJA: *(już u piecyka się krzątając)* Dajcież ją tu!

SEIDEL: A woda gorąca jest?

PIWONJA: O jej! Choćby wołu parzyć!

GOTTWALD: I kawałtoko cukru w to, jeśli macie!

HETA: Skądby tu kto cukier miał!

PIWONJA: Nie gadaj ino, nie gadaj! Przecie masz oskubinę!

HETA: Ja?... Cukru?... Nie mam. *(śmieje się przy-muszonym głosem)*

PIWONJA: Przecieżeś przyniosła trochę... Przecieżem sama widziała w chuściatku...

SEIDEL: No, ruszaj! Przynoś!

HANKE: Leć, Heta, leć!

SEIDEL: Przecie widzisz, co się z dziewczyną dzieje?

HETA: *(uparcie)* Dajcie mi święty spokój!

PLESZKE: *(sztukając szcudłem, zirytowany)* C—ccu-kier masz przynieść! Wiesz?

HETA: U kupca cukru dostanie! *(wymyka się z izby)*

SEIDEL: Masz szczęście, że nogi za pas bierzesz, bobym ci tu zaraz parę kuksańców pod zebro wsadził. Miałabyś pewno dość. Jużbyś się pewno nie wracała po więcej.

PLESZKE: *(wyszedł i po chwili wraca)* To to—to ci taka dziewczka! To ttaka!

SEIDEL: Już jabym jej muchy z nosa wytrzebił. Żebym tak na miejscu pana wójta był, tobym tegich witek brzozowych naciąć dał, to oneby tu z nią zrobiły porządek! Słychane rzeczy, żeby się taka młoda, mocna dziewczka w przytułku wylegiwała!

PLESZKE: Jeszczem tu ka—tu—ka—tu kawałtoko cu—ukru znalazł! Tttak, kkkawałtoko!

HANKE: *(wciąga nosem głośno zapach grogu)* Jabym też tak kiedy pochorować chciał!



SZMIT: *(wchodzi z latarnią i mówi nagłaco a poufale)*  
Na bok! Na bok! Pan wójt idzie!

*(wchodzi wójt BERGER, kapitan rezerwy. Małe wąsiki, twarz młodzieńcza, dobrodusznna, włosy dobrze szpakowate; wierzchnie ubranie zarywa na szyk miejski, w ręku laska, miękki kapelusz filcowy, po junacku nabakier wsadzony; coś burszowskiego w ruchach i układzie)*

MIESZKAŃCY PRZYTUŁKU: *(różnemi głosami)*

Dobry wieczór, panie wójcie!

Padam do nóżek, panie kapitanie!

BERGER: *(prędko)* Dobry wieczór! Dobry wieczór!  
*(zdejmuje kapelusz i okrycie, kładzie laskę, poczem z wymownym gestem)* No, a teraz wynosić się! Precz! *(Szmit wypycha żebraków do obocznej komory)*

BERGER: Dobry wieczór, panie Gottwald. *(podaje mu rękę)* Cóż to się tu dzieje?

GOTTWALD: A ot, tylkośmy ją co wyciągnęli z wody.

SEIDEL: *(występuje naprzód)* Za przeproszeniem pana kapitana... *(salutując po żołniersku ręką do czoła)* To było tak: idę ja z kuźni, co miałem tam trochę interesu... żeby mi kowal siekierę nastalił, tak dobrze! Idę ja z kuźni, a tam niedaleko — niby od kuźni, od Jauchnera Kamata — jest staw. Stawisko takie, za przeproszeniem pana kapitana, żeby nie skłamać, jak pół morza! *(do Gottwalda)* No, nie tak? Przecie nie co? Będzie tak, jak z pół morza. Tak dobrze! Idę ja z kuźni, a tam, na tym stawie, takie miejsce jest, jak to nie trzeba powiadać panu kapitanowi, co nie zamarza. Żeby tam nie wiedzieć jaki mróz był, nie zamarza. Głębia taka! Tom jeszcze mały bęben był...

BERGER: No, dobrze! I cóż tam było na stawie?

SEIDEL: *(salutując na nowo)* Więc kiedy ja tak z kuźni idę, a właśnie księżyc zdziebluchno z chmur wyjrzał, tak słyszę, jęczy coś. Tak myślę: albo mi się zdaje,

lbo cości jęczy. Tak dobrze. Spojrzę na staw, a tu się coś czerni. Patrzę, a to wprost leci na tę głębie, na oparzelisko. Tak krzyknę: Ho! A to plusk — i już! Tak dobrze. Co robiący, skacze ja do kuźni, za deskę i na staw! Sparłem deskę na lodzie, raz, dwa, trzy i takim ją za spódniczyne przychwycił.

BERGER: No, przecieżeś się raz spisał. Dotąd zawsze tylko słyhać było o bijatykach, łbach rozwalonych i połamanych kościach. Przynajmniej raz jakaś odmiana. I zarazęś ją tu przyniósł?

SEIDEL: *(salutując)* Pan nauczyciel Gottwald.

GOTTWALD: Przechodziłem właśnie tamtędy, wracając z naszej szkolnej narady. Zanieśliśmy ją do mnie. Żona moja trochę ją osuszyła, odziała.

BERGER: Więc jakże? Cóż się pokazało?

SEIDEL: *(zwolna, drapiąc się za uchem)* Ano... toć to przecie pasierbica Matterna mularza!

BERGER: *(patrzy na Hanusię przez chwilę)* Czyja? Tego gałgana, pijaka? Tego...

SEIDEL: Sześć niedziel temu umarła jej matka. A zresztą, co to powiadać! Cała wieś o tem wie. Bijał ją i poniewierał za nic. Tak mu do łba zajechało, że to niby... ja... ojciec...

BERGER: *(przez zęby)* Taki podziomek!

SEIDEL: A toć on i teraz w karczmie siedzi i pije. Od wczoraj siedzi i chlapie co wlezie!

BERGER: Już ja temu nicponiowi raz dobrze przysolę. *(pochyla się nad łóżkiem i mówi do Hanusi)* Dziewczyna! Słuchajno!... Cóż tak jęczysz? Czego się z takim strachem na mnie patrzysz? Przecież ci nic złego nie robię. Jak ci imię? Jak mówisz? Nie rozumiem! *(prostuje się)* Zdaje się, że dziewczyna trochę jest uparta!

GOTTWALD: Zalekniona tylko. Hanusiu!

HANUSIA: *(ledwo dostłyszalnym głosem)* Co?



GOTTWALD: Odpowiedz panu wójtowi!

HANUSIA: (*drży silnie*) Mój Boże! Jak mi zimno!  
(*Seidel przynosi grog*)

HANUSIA: (*tak samo*) Mój Boże! Jaka ja głodna!

GOTTWALD: A dać jej, to jeść nie chce.

HANUSIA: Mój Boże! Jak mnie strasznie boli!

GOTTWALD: Gdzie cię tak boli?

HANUSIA: Tak się boję!...

BERGER: Kto ci co złego zrobił? Kto? No, mów śmiało! Głośniej! Ja cię ani słowa zrozumieć nie mogę, moje dziecko! Spójrzij się na mnie! Jakże to było? Poniewierał cię ojczym? Bił cię? Zamykał może? Może z domu cię wypędził? Jakże? Co? No, gadajże przecie!

SEIDEL: Zawsze taka niemota! Już to źle musi z nią być, jak słowo piśnie. Jak to nieme jagnię! Akurat!

BERGER: Chciałbym wszakże czegoś się pewnego dowiedzieć. Przynajmniej raz udałoby mi się przychwycić tego łotra.

GOTTWALD: Tak się, biedactwo, niemądrze ludzi boi!

SEIDEL: A i cóż tu się, z przeproszeniem, dowiadywać! Cała wieś przecie wie. Pierwszego z brzega spytać, to powie. Aż mi dziwno, że ten dzieciak jeszcze na taką poniewierkę żyje. To i tak cud Boski.

BERGER: A cóż on z nią robi?

SEIDEL: A co? Różnie bywa. Kija to z niej nie zdejmuję prawie! Tyle, co do karczmy idzie. Na noc ją z chaluupy pędzi, żeby mu pieniędzy przyniosła. Piąta, co już najmniej, choćby tak, jak dziś, djabli się tłukli po świecie. Co jemu do tego? On piąta na wódkę musi mieć! A skąd teraz, na ten przykład, taki dzieciuch piąta weźmie? Kraść pójdzie? To siedzi do północy na drodze i płacze. Bo, jak wróci, nim stary zaśnie, a pieniędzy nie przyniesie, to się ludzie z drugiego końca wsi zlatują, taki krzyk, taki wrzask, tak ją wali!

GOTTWALD: Póki matka żyła, to to jeszcze uchronę jakąś miało...

BERGER: Tak, czy siak, ja tego hultaja wpakuję do kozy. Jużem go sobie dawno, pijanicę tego, zakarbował. No, dziewczyno! Jakże tam? Spójrzyj no na mnie!  
(*pochyliła się*)

HANUSIA: Ach, proszę, proszę, proszę, proszę!

SEIDEL: Z niej to tam łatwo nie dobędzie słowa.

GOTTWALD: (*łagodnie*) Hanusiu!

HANUSIA: (*cichutko*) Co?

GOTTWALD: Poznajesz mnie?

HANUSIA: Tak.

GOTTWALD: Któż ja jestem?

HANUSIA: Pan... pan nauczyciel... Gottwald.

GOTTWALD: No, dobrze! No, widzisz! Przecie ja twój przyjaciół! Prawda? No, to teraz nam opowiedz trochę! Byłaś tam, na stawie? Co? Czemużeś nie była w domu? No... czemu?

HANUSIA: Tak się boję...

BERGER: No, to my sobie odejdziemy troszkę. Powiedz samemu panu nauczycielowi! (*odstępuje z Seidlem od łóżka*)

HANUSIA: (*z ociąganiem i tajemniczo*) Wołało!

GOTTWALD: Kto wołał?

HANUSIA: Pan Jezus!

GOTTWALD: Gdzież to cię Pan Jezus wołał!

HANUSIA: We wodę!

GOTTWALD: Gdzie?

HANUSIA: Tam na dno... we wodę.

BERGER: (*zmieniając zamiar, kładzie okrycie i bierze kapelusz*) Tu przedewszystkiem potrzeba doktora. Pewno go będzie jeszcze można zastać... „Pod mieczem“.

GOTTWALD: Posłałem też do sióstr... Dziecko będzie potrzebowało opieki.

BERGER: Idę i zaraz doktora przysyłam. *(do Szmita)*  
A ty mi po wachmistrza skocz! Będę czekał „Pod mie-  
czem“. Dobrej nocy, panie Gottwald. Jeszcze dziś  
ptaszka zasadzę do ciupy!

*(wychodzi ze SZMITEM; Hanusia zasypia)*

SEIDEL: *(kiwa głową)* Zasadzi on go tam!

GOTTWALD: Czemużby nie?

SEIDEL: To się wie, czemu! A któż to, jak nie on,  
dzieciakowi do świata pomógł?

GOTTWALD: A, Seidel! Toż to babskie plotki!

SEIDEL: Plotki, albo i nie plotki! Są tacy, co o tem  
coś wiedzą.

GOTTWALD: Czego ci ludzie nie wymyślą! Nie można  
nic temu wierzyć, co gadają. Żeby tylko doktor prędzej  
przyszedł!

SEIDEL: *(zcicha)* Na mój głupi rozum, to jej tam  
już doktor nie pomoże. Dziewczyna ze wszystkim kaput!  
*(wchodzi DR. WACHLER, poważny trzydziestokilkoletni  
człowiek)*

DR. WACHLER: Dobry wieczór.

GOTTWALD: Dobry wieczór.

SEIDEL: *(zdejmuje futro z doktora)* Dobry wieczór  
panu doktorowi!

DR. WACHLER: *(grzejąc u piecyka ręce)* Prosiłbym  
o jedną jeszcze świecę. *(słychać w komorze obracaną kata-  
rynkę)* Powarjowali tam, czy co?

SEIDEL: *(u drzwi komory)* Ciszej tam! Pan doktor  
każe ciszej! *(katarynka ucicha; Seidel wchodzi do komory,*

DR. WACHLER: Pan Gottwald — nieprawdaż?

GOTTWALD: Tak, Gottwald.

DR. WACHLER: Chciała się „topić“, słyszę.

GOTTWALD: Nie mogło biedactwo inaczej poradzić  
sobie.

DR. WACHLER: *(podchodzi ostrożnie do łóżka)* Ależ ona przez sen mówi...

HANUSIA: Miljony gwiazdek... *(Dr. Wachler i Gottwald słuchają; księżyc przedarł się przez chmury i oświetla grupę)* Czego mi kości łamiesz! Aj!... Aj!... Tak mnie w duszy boli!

DR. WACHLER: *(rozpinając jej ostrożnie koszulę pod szyją)* Całe ciało ma sińcami pokryte.

SEIDEL: Tak i jej matka wyglądała w trumnie.

DR. WACHLER: Okropność! Okropność!

HANUSIA: *(zmienionym, upartym głosem)* Nie chcę! Nie chcę! Nie pójdę do domu! Pod wodę pójdę... Pod wodę... Puszczaj, ojcze, pójdę... Pfe, jak wódką czuć! Znów piłeś wódkę!... Słyszysz, jak las huczy? Dziś rano leżała brzoza, na górze, złamana... Żeby tylko pożaru nie było! Jak krawiec idzie, a kamieni w kieszeń nie nabierze i żelazka w rękę nie ma, to go wicher tak po górach nosi, nosi... Ha... Burza! Burza!

*(wchodzi diakonisa, SIOSTRA MARTA)*

GOTTWALD: Dobry wieczór, siostro! *(siostra Marta skłania głowę)*

*(Gottwald przystępuje do diakonisy, która zaraz zaczyna się krzątać około przygotowań do nocnego czuwania, i rozmawia z nią zcicha, w głębi)*

HANUSIA: Gdzie matka? W niebie? Ach, ach! Jak daleko!... *(otwiera oczy, patrzy dokoła mętным wzrokiem, przeciąga ręką po oczach i mówi ledwo dosłyszalnym głosem)* Gdzie ja... jestem...?

DR. WACHLER: *(pochylony nad nią)* U dobrych ludzi.

HANUSIA: Pić mi się tak chce...

DR. WACHLER: *(odwraca głowę)* Wody! *(Seidel, który przyniósł drugą świecę, idzie po wodę)*



DR. WACHLER: Czy cię co boli? (*Hanusia wstrząsa głową*)

DR. WACHLER: Nie? No, widzisz! To z nami wcale tak źle nie jest!

HANUSIA: Czy pan — doktor?

DR. WACHLER: A jakże, doktor!

HANUSIA: To ja pewno... chora?

DR. WACHLER: Trochę... Troszkę... Niebardzo.

HANUSIA: I pan mnie chce wyleczyć?

DR. WACHLER: (*badając szybko*) Boli cię tu? A tam? Może tu boli? Tu? Tu może? Nie lękaj się! Nie patrz na mnie z takim strachem! Ja cię nie urażę! A tu? Tu boli? Tu może czujesz ból?

GOTTWALD: (*zbliża się do łóżka*) Odpowiedz panu doktorowi, Hanusiu!

HANUSIA: (*gorącym, sennym, drżącym we łzach głosem*) Ach, drogi panie Gottwald!

GOTTWALD: Uważaj teraz, o co cię pan doktor pyta, i ładnie odpowiadaj! (*Hanusia wstrząsa głową*) Czemu nie?

HANUSIA: Bo... bo... bo jabym tak chciała do matki!

GOTTWALD: (*wzruszony, gładzi jej włosy*) No, cicho już, cicho! (*mała pauza*)

(*doktor się prostuje, oddycha głęboko i zamyśla się przez chwilę. Siostra Marta wzięła drugą świecę ze stołu i przyświeca nią*)

DR. WACHLER: (*dając ruch ręką*) Proszę, siostro! (*podchodzi z nią do stołu i cichym głosem daje polecenia. Gottwald bierze kapelusz i patrzy, oczekując, to na Hanusię, to na doktora, to na diakonisę*)

DR. WACHLER: (*kończąc przyciszoną rozmowę z siostrą*) A ja tu przyjdę znowu. Lekarstwo przyślę zaraz. (*do Gottwalda*) Podobno aresztowany w oberży „Pod mieczem“.

SIOSTRA MARTA: Tak mi przynajmniej dopiero co mówiono.

DR. WACHLER: *(nakłada jutro, do Seidla)* Pójdziecie za mną do apteki.

(DR. WACHLER, GOTTWALD i SEIDEL kłaniają się siostrze i wychodzą zwolna)

GOTTWALD: *(idąc)* Cóż pan myślisz o stanie chorej, doktorze?

*(wszyscy trzej wyszli; diakonisa zostaje z Hanusią sama, nalewa mleka w garnuszek; Hanusia otwiera oczy i patrzy na nią)*

HANUSIA: Czy ty przychodzisz od Pana Jezusa?

SIOSTRA MARTA: Co mówisz?

HANUSIA: Czy od Pana Jezusa przychodzisz?

SIOSTRA MARTA: Cóż to, Hanusiu, nie poznajesz mnie? Przecież ja jestem siostra Marta, nieprawdaż? Przecież ty byłaś u nas kiedyś? Nie pamiętasz-to, jakieśmy się razem modliły, piękne pieśni śpiewały? Prawda?

HANUSIA: *(przytakuje radosnym ruchem głowy)* Ach, tak! Piękne pieśni!

SIOSTRA MARTA: No, a teraz będę cię tu pielęgnowała w imię Boże, póki znów nie będziesz zdrowa.

HANUSIA: Ja nie chcę być zdrowa.

SIOSTRA MARTA: *(podchodzi z garnuszkiem mleka)* Powiedział pan doktor, że masz się trochę mleka napić! Żebyś się wzmocniła trochę...

HANUSIA: *(broniąc się)* Ja nie chcę być zdrowa!

SIOSTRA MARTA: Nie chcesz być zdrowa? No, to tam później pogadamy o tem... A teraz daj, kochanie, włosy ci trochę zwiążę... *(wiąże jej włosy)*

HANUSIA: *(cicho płacząc)* Ja nie chcę być zdrowa!

SIOSTRA MARTA: Czemuż to nie?

HANUSIA: Bo jabym tak chciała... tak chciała... do nieba!

SIOSTRA MARTA: Nie w naszej to mocy! Czekać trzeba, póki Bóg nie zawoła. Ale, jeżeli za grzechy swoje żałujesz...

HANUSIA: (*żarliwym głosem*) Ach, siostro! Tak żałuję! Tak ogromnie żałuję!

SIOSTRA MARTA: I jeśli wierzysz w Jezusa Chrystusa...

HANUSIA: Ach, wierzę! Tak mocno wierzę w Zbawiciela mego!

SIOSTRA MARTA: To musisz go oczekiwać w radości i spokoju! A teraz poprawię ci poduszkę i uśniesz trochę. Dobrze?

HANUSIA: Nie mogę usnąć...

SIOSTRA MARTA: Popróbuj troszkę!

HANUSIA: Siostro Marto!...

SIOSTRA MARTA: Cóż takiego?

HANUSIA: Siostro Marto! Czy są grzechy... czy są takie grzechy, co nie mogą być odpuszczone?

SIOSTRA MARTA: Śpij teraz, Hanusiu! Nie myśl o tem teraz!

HANUSIA: Ach, powiedz mi, siostro! Proszę, proszę, proszę!

SIOSTRA MARTA: Są takie grzechy. A jakże. To są grzechy przeciw Duchowi świętemu.

HANUSIA: A jeśli ja taki grzech... popełniłam?

SIOSTRA MARTA: Ale co znowu! Tylko źli ludzie tak grzeszą. Taki, ot, Judasz, co Pana Jezusa zdradził...

HANUSIA: Ale jeśli... jeśli popełniłam!

SIOSTRA MARTA: Śpij teraz, śpij!

HANUSIA: Kiedy się boję...

SIOSTRA MARTA: Nie masz się wcale czego bać!

HANUSIA: Bo jeżeli taki grzech popełniłam...

SIOSTRA MARTA: Nie popełniłaś takiego grzechu, nie!

HANUSIA: *(czepła się jej rękł i patrzy w ciemności z trwogą)* Ach siostró... siostró...

SIOSTRA MARTA: Bądź, bądź spokojna!

HANUSIA: Siostró!

SIOSTRA MARTA: No, cóż tam takiego?

HANUSIA: Bo on tu zaraz przyjdzie... Już idzie! Słyszysz!

SIOSTRA MARTA: Nie, nie słyszę!

HANUSIA: To jego głos... tam... na dworze! O!...

SIOSTRA MARTA: Czyj głos?

HANUSIA: Ojca... ojca... Ojciec tam stoi!

SIOSTRA MARTA: Gdzie?

HANUSIA: O... tam...

SIOSTRA MARTA: Gdzie znowu?

HANUSIA: Tam, za łóżkiem.

SIOSTRA MARTA: Tam? To płaszcz tam wisi, patrz! Widzisz płaszcz! A tu oto kapelusz! Zaraz zabierzemy te brzydkie rzeczy i oddamy ojcu Pleszke! A za jedną drogą przyniosę świeżej wody i zrobię ci okład na głowinę. Zostaniesz chwileczkę sama? Ale cicho, cichutko leżeć masz... Zupełnie spokojnie!

HANUSIA: *(z biernym, chorym uśmiechem)* A tom... głupia była! Przecie to płaszcz! Prawda? A to kapelusz!

SIOSTRA MARTA: A teraz cichutko tu leż! Ja zaraz wrócę. *(wychodzi, ale zmuszona jest wrócić po światło, bo w sieniach zupełnie ciemno)* Biorę świece, bo tam ciemno. *(grozi dobrotliwie palcem)* Ale żebyś mi tu cichutko leżała! *(wychodzi)*

*(w izbie teraz prawie zupełny mrok. W tej chwili ukazuje się w nogach łóżka Hanusi postać mularza MATTERNA. Pi-jacka, wyschła twarz, rude szorstkie włosy, na nich zniszczona żołnierska furażka bez daszka. W lewej ręce trzyma kielnię. Prawa, okręcona rzemieniem, zaciśnięta w kulak. Ruch taki, jakby lada chwila miał się na Hanusię rzucić. Słabe światło*



*bije od tego zjawiska i oświeśla w krąg łóżko Hanusi. Dziewczyna w przerażeniu oczy rękami zakrywa i jęczy zcicha)*

POSTAĆ: *(mówi zachrypłym, wściekłą pasją zdławionym głosem)* Gdzie siedzisz? Gdzieś była? Co tu robisz? Ja cię nauczę, próżniaku! Ja cię pokażę! Zobaczysz! Coś tu ludziom nałgała o mnie? — Że cię katuję? He? Ty znajdo, ty! Ty przybłędo! Wstawaj mi zaraz! Ja cię tu pożałuję!... Zobaczysz! Jak psa na drogę wyrzucę! Wstawaj i ogień pal! Jeszcześ tu? Z łaski, z miłosierdzia w domu cię trzymam, darmożjadzie, próżniaku! Jeszcze leżysz? Jak ja się tu wezmę z pięścią do ciebie...

*(Hanusia podnosi się z wysiłkiem, z oczyma zamkniętymi do piecyka idzie, otwiera drzwiczki i bez zmysłów na ziemię pada. W tej chwili wchodzi SIOSTRA MARTA z dzbankiem i świecą. Postać MATTERNA znika)*

SIOSTRA MARTA: *(zatrzymuje się, spostrzega leżącą Hanusię i przerażonym głosem woła)* Chryste Panie! *(stawia świecę, dzbanek, biegnie do Hanusi i dźwiga ją z ziemi; na krzyk przybiegają mieszkańcy przytułku)*

SIOSTRA MARTA: Po wodę musiałam iść, a ta mi z łóżka zeszła! Proszę cię, Jadwigo, pomóż mi!

HANKE: Dalej, Heta! A uważaj, bo jej kości temi niedźwiedzimi łapami połamiesz!

PLESZKE: Na—na m—m—m—mój rozum, to ja myślę si—si—si—siostró, że dz—dziewczynie ktoś u—u—urok zadał. Tak!

PIWONJA: A cóż? Może być! Ze wszystkim wygląda, jakby urzeczona!

HANKE: *(głośno)* Ino patrzeć, jak zipnie... Już ja się na tem znam!

SIOSTRA MARTA: *(z pomocą Hety położyła Hanusię na łóżko)* Może i masz słuszość, mój przyjacielu, ale teraz... nieprawdaż? Wszak widzicie sami? Nie trzeba chorej przeszkadzać!

HANKE: A cóż my jej tu przeszkadzamy?

PLESZKE: Du—du—du—dureń z ciebie! To—to—to  
—toż k—k—każdy wie, że ch—ch—cho—chory m—m—  
musi s—s—s—spokój mieć!

HETA: (*podrzeźnia*) Ch—ch—ch—ch—chory!...

SIOSTRA MARTA: Proszę was, dobrzy ludzie! Bardzo,  
bardzo was serdecznie proszę!

PIWONJA: Ma rację siostra. Wynoście się! Dalej!

HANKE: Co to, wynoście się? Sami pójdziem, jak  
nam się będzie podobało!

HETA: Tak mi się cosik widzi, że dziś przyjdzie w kur-  
niku spać.

PLESZKE: Ju—ju—już ty ty bądź cicho! Już  
t—t—t—ty so—sobie miejsce znajdziesz! Już ty wiesz  
g—g—g—gdzie s—s—sobie miejsca szukać! (*wychodzą*)

HANUSIA: (*otwiera z obawą oczy*) Czy... Czy już  
poszedł?

SIOSTRA MARTA: Ludzie? Ludzie poszli już sobie!  
Nie przelekłaś się ich przecież, Hanusiu?

HANUSIA: (*ciągle z trwogą*) Czy ojciec poszedł?

SIOSTRA MARTA: Ojca tu nie było.

HANUSIA: Był, siostro, był!

SIOSTRA MARTA: To ci się tylko tak śnić musiało.

HANUSIA: (*z głębokim westchnieniem, żarliwie*) Ach,  
drogi Jezu! Ach, drogi Jezu! Ach, najśliczniejszy,  
miłosierny Jezusku! Weźże mnie już raz do siebie! Weźże  
mnie do siebie!

(*zmienionym głosem nuci*)

Niech skryje mnie ziemia,

Niech skryje las,

Niech ludziom ja z oczu,

Zejdę już raz...

(*mała pauza*)

Wiem, wiem z pewnością, siostro!

SIOSTRA MARTA: Cóż ty wiesz?

HANUSIA: Obiecał mi... Obiecał mi, że do nieba pójde!

SIOSTRA MARTA: Hm...

HANUSIA: Wiesz, siostró, kto?

SIOSTRA MARTA: Któż taki?

HANUSIA: *(tajemniczo, do ucha siostry się podnosząc)*  
Drogi — pan... Gottwald!

SIOSTRA MARTA: No, dobrze. Ale teraz, to już śpij, Hanusiu!

HANUSIA: Siostró, prawda że nauczyciel Gottwald jest piękny mężczyzna? Henryk mu na imię. Prawda? Henryk! Bardzo piękne imię! Prawda? *(gorącym, głębokim głosem)* Ty drogi, ukochany Henryku!... Wiesz co, siostró? My się pobierzem! Tak, tak. My oboje. Pan nauczyciel Gottwald i ja! *(nuci)*

A jak ich już powiązał ksiądz,

To poszli tam oboje,

Na puchy białe, jako śnieg,

Na ciche swe pokoje!

*(mówi)*

A brodę jaką piękną ma!

*(z rosnącą ekstazą)*

Na głowie jego bzy kwitną...

Słyszysz? Woła... Woła mnie... Słyszysz?...

SIOSTRA MARTA: Śpij, Hanusiu, śpij! Nikt nie woła.

HANUSIA: To był pan... Jezus. Słuchaj tylko... słuchaj, siostró! Znów woła: „Hanusiu!“ Głośno tak woła: „Hanusiu!“ Zupełnie tak wyraźnie, woła: „Pójdź za mną, Hanusiu!“

SIOSTRA MARTA: *(wzruszona)* Gdy Bóg zawoła na mnie, gotowa będzie dusza moja.

HANUSIA: *(znów przez księżyc oświetlona, unosi głowę i wdycha powietrze, jakby wachając słodkie wonie)* Czujesz, siostró?

SIOSTRA MARTA: Nie, dziecko, nie czuję.

HANUSIA: Bzy pachną! *(z rosnącym uniesieniem)*  
Słuchaj!... Słyszysz? Słyszysz teraz? Cóż więc to jest?  
*(zdaleka słychać śpiew zebranych głosów)* Nie sąż to głosy  
anielskie? Więc i teraz nic nie słyszysz?

SIOSTRA MARTA: Słyszę, Hanusiu, słyszę! Ale  
musisz teraz już naprawdę cicho być, na bok się ładnie  
obrócić i spokojnie spać do rana.

HANUSIA: A zaśpiewasz mi to, siostro?

SIOSTRA MARTA: Co takiego, dziecko?

HANUSIA: „Śpij, dziecię, śpij!”

SIOSTRA MARTA: Chcesz, żebym ci to zaśpiewała?

HANUSIA: *(opada na poduszkę i gładzi rękę siostry)*  
Zaśpiewaj mi, mammo, zaśpiewaj!

SIOSTRA MARTA: *(gasi świecę, pochyla się nad  
łóżkiem i mówi z lekkim rytmem śpiewnym, pod ton oddalanej  
muzyki)*

Śpij, dziecię, śpij,

Owieczkę białą śnij!

*(zaczyna teraz śpiewać. Robi się zupełnie ciemno)*

Owieczka biała poszła w sad,

Gdzie kwitnie lilji cudny kwiat,

Śpij, dziecię, śpij!

*(słaby brzask napętnia ubogą izbę. Na brzegu łóżka, po-  
chylona naprzód, podpierając się o brzegi chudemi, obnażo-  
nemi rękami, siedzi blada, widmowa POSTAĆ KOBIECA.  
Jest bosa. Długie jej białe włosy opadają na skronie, wzdłuż  
twarzy i piersi, aż na koldrę łóżka. Twarz wyschła, wy-  
żółkła. W głębokich dołach błyszczą, mimo zamknięte po-  
wieki, oczy spuszczone, na Hanusię patrzące. Głos jej, jak  
głos lunatyczki, jednostajny. Nim słowo wymówi, szeroko,  
jednostajnie rozciąga wargi, z pewnym trudem dźwięk każdy  
dobywa, jakby z głębi piersi. Przed czasem zestarzała,  
schorowana i jak najnędzniej odziana)*





POSTAĆ: Hanusiu! Hanusiu!

HANUSIA: (*unosí głowę, również z zamkniętymi oczami*)  
Czy to ty, mamó? Mamó droga!

POSTAĆ: Łzami memi obmyłam nogi Zbawiciela  
naszego, a włosami memi je obtarłam.

HANUSIA: Przynosisz mi dobrą nowinę?

POSTAĆ: Tak.

HANUSIA: Zdaleka idziesz?

POSTAĆ: Sto tysięcy mil, wskroś wiecznej nocy.

HANUSIA: Jakże ty wyglądasz, matko?

POSTAĆ: Jak dzieci ziemi.

HANUSIA: Z ust twych konwalja wykwita... Głos  
twój śpiewa...

POSTAĆ: Nie jest to dźwięk czysty...

HANUSIA: Matko! Droga matko! Jakżeś ty piękna!

POSTAĆ: Aniołowie w niebie są sto razy piękniejsi.

HANUSIA: A czemużeś i ty nie taka?

POSTAĆ: Bo cierpię ból przez ciebie...

HANUSIA: To zostań tu, mamó, ze mną!

POSTAĆ: (*podnosi się*) Czas mi iść.

HANUSIA: Pięknież tam, gdzie jesteś?

POSTAĆ: Szerokie, szerokie błonia, od burzy, od  
wichru, od gradu zakryte ręką Boga.

HANUSIA: I możesz tam spocząć, gdyś zmęczona?

POSTAĆ: Mogę.

HANUSIA: I masz co jeść, gdyś głodna?

POSTAĆ: Kiedy łaknę, mam mięsiwa i owoce, kiedy  
pragnę... mam wino złociste. (*oddala się, cofając*)

HANUSIA: Odchodzisz już, matko?

POSTAĆ: Bóg woła.

HANUSIA: Czy Bóg głośno woła?

POSTAĆ: Bóg głośno woła za mną.

HANUSIA: Serce mam ogniem spalone...

POSTAĆ: Świeżością róż i lilij Bóg ci je ochłodzi.

HANUSIA: Czy Bóg mnie zbawi?

POSTAĆ: Znasz ten kwiatek, który trzymam w ręku?

HANUSIA: Kluczyki... Kluczyki rajske do nieba!

POSTAĆ: *(wkłada kwiatek w rękę Hanusi)* Oto jest zakład, od Boga ci dany. Bądź poznaczona!

HANUSIA: Mamo! Mamo! Nie odchódź! Zostań!

POSTAĆ: Maluczko, a nie ujrzyście mnie. I znów maluczko, a ujrzyście mnie.

HANUSIA: Boję się...

POSTAĆ: *(oddala się)* Jako wichur rozmiata śnieg halny, tak Bóg rozmieście tych, którzy cię dręczą.

HANUSIA: Nie odchódź, mamo!

POSTAĆ: Dzieci niebios są, jak błękitne błyskawice nocy. Śpij!

*(nagły mrok. Słuchać słodkie, chłopięce głosy, które śpiewają drugą strofę kołysanki)*

Śpij, dziecię, śpij!

O rajske gościach śnij!

*(nagle całą izbę wypełnia złoto-zielone światło. Widać trzech jasnych aniołów. Piękne, uskrzydłone postacie młodzieńcze, z wieńcami róż na głowach, odśpiewują koniec strofy z długiej, jak na starych obrazach bywa, karty, której zwoje spadają ze stron obu. Ani diakonisy, ani postaci kobiecej niema na scenie)*

ANIOŁY:

Przez biednej chaty niski próg

Anielske gości przysłał Bóg.

Śpij, dziecię, śpij!...

HANUSIA: *(otwiera oczy, patrzy z zachwytem na aniołów i mówi zdumiona)* Anioły!? *(z rosnącym podziwem i radością, ale nie bez powątpienia)* Anioły!!? *(z wybuchem uniesienia)* Anioły!!! *(mała pauza)*

*(anioły mówią jeden po drugim, pod oddaloną muzykę)*

## I ANIOŁ:

Słońce, na wzgórzach świecące,  
Złota ci swego nie dało,  
Zielonych dolin kobierce  
Nie słały ci się do stóp!

## II ANIOŁ:

Pól żyznych kłosa srebrzyste  
Nie nakarmiły cię chlebem,  
Mleko trzód w bujnych pastwiskach  
Nie wyszumiało w twój dzban!

## III ANIOŁ:

Zioła i kwiaty tej ziemi,  
Słodocy pełne i woni,  
Róż краса, niebios bławaty  
Nie usypały twych dróg!  
*(krótka pauza)*

## I ANIOŁ:

Pokłon ci pierwszy niesiemy  
Przez zmierzch i mroki żywota,  
Z rajskim piór naszych powiewem  
Tchnie pierwszy szczęścia dech!

## II ANIOŁ:

Na rąbkach szat naszych błyszczą  
Najświeższe majowe rosy...  
Z warg naszych zorzą wykwita  
Jutrzenna różaność dnia!

## III ANIOŁ:

Ze śladem stóp naszych świeci  
Blask szmaragdowy łąk raju,  
W źrenicach naszych odbłyśka  
Światłem swem Boży gród!

. . . . .

## CZĘŚĆ DRUGA.

*Scena, jak przed ukazaniem się aniołów. SIOSTRA MARTA siedzi przy łóżku, na którym leży HANUSIA. Siostra Marta podnosi się, zapala świecę; Hanusia otwiera oczy. Przedchwilowe widzenie zdaje się przedłużać jeszcze. W twarzy Hanusi widać odblask niebiańskiego szczęścia. Zaledwie poznała diakonisę, zaczyna mówić z radosnym pośpiechem.*

HANUSIA: Siostro, anioły! Siostro Marto, anioły! Wiesz, kto tu był?

SIOSTRA MARTA: Hm!... Znowu nie śpisz!

HANUSIA: Zgadnij, siostro, kto? No? *(z wybuchem uniesienia)* Anioły! Anioły! Prawdziwe anioły z nieba, Siostro Marto! Wiesz przecie? Anioły z długimi skrzydłami!

SIOSTRA MARTA: Więc, kiedy ci się takie piękne rzeczy śniły...

HANUSIA: Ach, ach! Masz tobie! Teraz mów, że mi się to śniło! A cóż to jest? Popatrz tylko, siostro! *(wyciąga rękę ze złożonymi palcami tak, jakby w nich trzymała kwiatek, i pokazuje go diakonisie)*

SIOSTRA MARTA: Cóż to tam masz?

HANUSIA: No, popatrz tylko, siostro!

SIOSTRA MARTA: Hm!...

HANUSIA: O tu... patrz tylko!

SIOSTRA MARTA: Aha!

HANUSIA: Powąchaj tylko!



SIOSTRA MARTA: (*schyla się i pociąga nosem, jakby wąchała*) Hm... Pachnie!

HANUSIA: Nie tak mocno, siostro, bo go złamiesz!

SIOSTRA MARTA: A niechże Bóg broni! Cóż to jest takiego właściwie?

HANUSIA: Kluczyki rajskie! Siostra kluczyków nie zna?

SIOSTRA MARTA: Ach, tak?

HANUSIA: (*z dziecięcym, cierpiącym śmiechem*) Z siostry też!... Niechże siostra da świecę! Prędko!... Prędko!

SIOSTRA MARTA: (*przynosi świecę i patrzy*) Ach, tak. Teraz już widzę.

HANUSIA: Prawda?

SIOSTRA MARTA: Ale ty za dużo mówisz, dziecko! Musimy się teraz cichutko sprawiać, boby się pan doktor na nas gniewał. A przysłał też tu lekarstwo. Musimy je zaraz grzecznie zażyć.

HANUSIA: Ach, siostro! Tak się siostra około mnie trudzi! A siostra nic nie wie, co się tutaj stało! No? No? Wie siostra? To niech siostra powie, kiedy wie! Kto mi dał kluczyki? No? Kluczyki złote? Kto? No? Co to otwierają takie złote kluczyki? Co?

SIOSTRA MARTA: Jutro mi to wszystko opowiesz, Hanusiu, jutro. Jak dobrze wypoczniesz, będziesz zdrowa...

HANUSIA: Przecie ja zdrowa! (*siada i opuszcza nogi z łóżka*) Przecie widzisz, siostro, że ja zdrowa!

SIOSTRA MARTA: (*usiłuje przeszkodzić*) Ależ, Hanusiu! Nie można tak robić! Nie powinnaś tak robić!

HANUSIA: (*staje, odpycha zakonnicę i, chwielejąc się, robi kilka kroków*) Musisz... Musisz puścić mnie, siostro! Muszę iść. (*nagle zatrzymuje się z przestrawieniem i błędnym wzrokiem w jeden punkt patrzy*) Zbawicielu świata! (*widąc ANIOŁA w czarnych szatach i z czarnymi skrzydłami. Jest on wysoki, silny, piękny. W ręku trzyma długą, wężo-*

*waty miecz, którego rękojeść owija żałobna krepa. Milczący i surowy, siedzi blisko pleca i patrzy na Hanusię spokojnym, nieruchomym wzrokiem)*

*(białe, nleziemskie światło napęlnia izbę)*

HANUSIA: Ktoś ty?

*(milczenie)*

Czyś ty anioł?

*(milczenie)*

Czyś ty do mnie przyszedł?

*(milczenie)*

Ja jestem Hanusia Mattern. Czyś do mnie przyszedł?

*(milczenie)*

*(siostra Marta stoi przez chwilę ze złożonemi rękami, w po-bożnej i pokornej postawie, potem wychodzi zwolna)*

HANUSIA: Czy Bóg odjął mowę językowi twemu?

*(milczenie)*

Czy od Boga idziesz?

*(milczenie)*

Czy jak przyjaciel, czy jak wróg przychodzisz?

*(milczenie)*

Czy to jest miecz, tam, w fałdach twojej szaty?

*(milczenie)*

Brrr!... Jak zimno! Lodowe zimno wieje z twoich skrzydeł. Mróz od ciebie idzie. Kto ty jesteś?

*(milczenie)*

*(nagłym przestraczem ogarnięta, z krzykiem rzuca się Hanusia wstecz, jakby szukając ucieczki w kimś, co za nią stoi)*

Mamo! Mamo!

*(ukazuje się postać w odzieniu diakonisy, ale młodsza i piękniejsza, z długimi, białymi skrzydłami. Hanusia tuli się do niej, chwytając ją za rękę)*

HANUSIA: Mamo! Mamo! Tu ktoś jest!

DIAKONISA: Gdzie?

HANUSIA: O, tu!

DIAKONISA: Czego tak drżysz, dziecię?

HANUSIA: Boję się...

DIAKONISA: Nie bój się! Ja tu, przy tobie.

HANUSIA: Zęby mi szczękają ze strachu... Nie mogę wstać. Boję się jego...

DIAKONISA: Nie powinnaś się go bać. To twój przyjaciel.

HANUSIA: A kto on jest, mamó?

DIAKONISA: Nie znasz go?

HANUSIA: Kto on?

DIAKONISA: Śmierć.

HANUSIA: *(jak echo)* Śmierć! *(patrzy przez chwilę na czarnego anioła w milczeniu i ze złością)* Czy to być musi?

DIAKONISA: To jest wejście, Hanusiu.

HANUSIA: I każdy musi przez nie?

DIAKONISA: Każdy.

HANUSIA: O Śmierci! Czy ty mnie mocno uchwycisz?  
*(cisza)* Milczy! O co go tylko zapytam, na wszystko milczy, mamó!

DIAKONISA: Słowa Boże w sercu twem są głośne.

HANUSIA: Jak często wzywam cię w duszy... a przecież się lękam!

DIAKONISA: Przygotuj się, Hanusiu!

HANUSIA: Żeby umrzeć?

DIAKONISA: Tak.

HANUSIA: *(po małej pauzie, wstydliwie)* Mamże leżeć w trumnie obdarta? W łachmanach?

DIAKONISA: Bóg cię odzieje.  
*(wyjmuje srebrny dzwonek i dzwoni. W tej chwili wchodzi, tak, jak wszystkie inne postacie następne, bez żadnego szmeru, mały, garbaty KRAWIEC wiejski, niosąc na ramieniu ślubną suknię, welon, wieniec, a w rękę szklane trzewiczki;*

*krawiec ma chód komiczny, szastający się. Składa w milczeniu ukłony aniołowi, diakonisie, a wreszcie najgłębsze Hanusi)*

KRAWIEC: *(ciągle w ukłonach)* Panno Hanno Katarzyno Mattern! *(chrząka)* Najłaskawszy ojciec pani, jaśnie wielmożny pan hrabia, raczył zamówić u mnie ślubną toaletę.

DIAKONISA: *(bierze z rąk krawca luźną szatę i kładzie Hanusi przez głowę)* Pójdź, to cię ubiorę, Hanusiu!

HANUSIA: *(z radosnem wzruszeniem)* Ach, jak szeleści!

DIAKONISA: Biała, jedwabna suknia, Hanusiu.

HANUSIA: *(pogląda po sobie z zachwytem)* Zdumieją się ludzie, jaka ja piękna w trumnie leżeć będę!

KRAWIEC: Panno Hanno Katarzyno Mattern! *(chrząka)* Cała wieś o tem tylko mówi... *(chrząka)* jaki panią los, jakie szczęście spotyka w tej śmierci, panno Hanno! *(chrząka)* Ojciec pani... *(chrząka)* Jasny pan hrabia... *(chrząka)* był właśnie u pana wójta...

DIAKONISA: *(kładzie Hanusi wieniec)* Pochyl głowę, oblubienico niebios!

HANUSIA: *(drżąc z dziecinnej radości)* Wiesz co, siostro Marto? Ogromnie się na tę śmierć cieszę! *(z namiętnym powątpiewaniem)* Wszak ty jesteś siostra Marta?

DIAKONISA: Tak.

HANUSIA: Naturalnie! Ale nie! Moja mama przecież jesteś?...

DIAKONISA: Tak.

HANUSIA: I jedna i druga jesteś? Jakże to?

DIAKONISA: Dzieci niebios są jednym w Bogu.

KRAWIEC: Za przeproszeniem, księżniczko Hanusiu! *(przykłada przed nią z szklanemi pantofelkami)* Najmniejsze trzewiczki w całym państwie. Wszystkie panny mają do nich za duże nogi! Józia, Rózia, Lina, Mina, Basia, Kasia, Zosia i Małgosia... *(nakłada jej trzewiczki)* W sam



raz! W sam raz! Znalazła się narzeczoną dla królewicza! Panna Hanusia ma najmniejsze nóżki! *(powstaje)* Gdyby znów czego było potrzeba, polecam się. Sługa! Uniżony sługa!

*(wychodzi, szastając się w ukłonach)*

HANUSIA: *(mocno wzruszona)* Ledwie doczekać mogę, mamó!

DIAKONISA: To już i lekarstwa brać nie trzeba.

HANUSIA: A nie!

DIAKONISA: Za chwilę będziesz zdrowa, jak ta rybka w wodzie.

HANUSIA: *(przytwierdza z uśmiechem)* Ale!

DIAKONISA: To pójdź i połóż się na swem łożu śmierci! *(ujmuje lekko Hanusię za rękę i prowadzi zwolna do łóżka, na którym się Hanusia kładzie)*

HANUSIA: Przecie raz się dowiem, co to znaczy umierać!

DIAKONISA: Dowiesz się, Hanusiu.

HANUSIA: *(leży nawznak, ręce jakgdyby około kwiatków złożone)* Mam mój zakład.

DIAKONISA: Przyciśnij go mocno do piersi!

HANUSIA: *(z budzącym się na nowo przest్రachem na anioła patrzy)* Więc to się stać musi?

DIAKONISA: Musi!

*(słysząc z oddalenia dźwięki żałobnego marsza)*

HANUSIA: Teraz trąbią do grobu. Majster Sejfryd i muzykanty.

*(anioł podnosi się)*

Teraz wstaje...

*(zawieja się wzmaga; anioł zbliża się do Hanusi zwolna i poważnie)*

Teraz idzie do mnie... Ach, siostro... Mamó! Już nie widzę ciebie! Gdzie jesteś?... *(do anioła błagalnie)* Kończ prędko, ty niemy, czarny duchu! *(drżąc, jakby pod*

wielkim ciężarem) Tak ciśnie... ciśnie... jak kamień...  
(anioł podnosi z wolna miecz) Chce... chce mnie... chce  
mnie zupełnie... zabić!... (w najwyższej trwodze)

Ratuj, siostro!

DIAKONISA: (staje między Hanusią i aniołem, broniąc  
mu przystępu i uroczystym gestem ręce na sercu Hanusi  
kłada; mówi z majestatem, namaszczeniem i siłą) Nie  
uczyni tego! Oto na twem sercu kładę obie moje poświę-  
cone dłonie!

(CZARNY ANIOŁ znika. Chwila ciszy. Diakonisa składa  
ręce i z łagodnym uśmiechem na Hanusię patrzy, poczem się  
pogrąża w nlemej modlitwie, poruszając wargami bez głosu.  
Dźwięki żałobnego marsza brzmią ciągle. Słychać teraz  
stłumiony tupot wielu nóg, stąpających ostrożnie. W środko-  
wych drzwiach ukazuje się nauczyciel GOTTWALD. Marsz  
żałobny cichnie. Gottwald jest ubrany, jak na pogrzeb,  
czarno, w rękę trzyma bukiet bzu. Ze czią odkrywa głowę  
i odwraca się za siebie z gestem, nakazującym spokój. Przez  
drzwi otwarte widać dzieci z wiejskiej szkółki, chłopców  
i dziewczęta, w świątecznych ubiorach. Na ruch nauczyciela  
przerywają szepty, cichną i, stanąwszy w zbitej kupce, nie  
śmieją przestąpić progu. Gottwald zbliża się z uroczystą  
twarzą do modlącej się ciągle diakonisy)

GOTTWALD: (stłumionym głosem) Dzień dobry,  
siostro Marto!

DIAKONISA: Bóg cię pozdrów, panie Gottwald!

GOTTWALD: (wstrząsa żałośnie głową, patrząc na  
Hanusię) Biedne maleństwo!

DIAKONISA: Nie należy się smucić. Osiągnęła spokój,  
i ja jej spokoju życzę.

GOTTWALD: Tak. Jej już błogo. Ona już wyzwolona  
od trosk i od bólów.

DIAKONISA: (zapatrzona w Hanusię) Jak piękna  
leży w swej ciszy!

GOTTWALD: Piękna! *(z nagłym wzruszeniem)* Kwiatuszkę mój najmilszy, jakżeś się cudnie w śmierci swej zakwiecił!

DIAKONISA: Umiłowała Boga, i Bóg ozdobił ją.

GOTTWALD: Tak. Dobra była. Pobożna.  
*(wzdycha, otwiera książkę do nabożeństwa i patrzy w nią, stroskany)*

DIAKONISA: *(patrzac razem z nim w książkę)* Nie trzeba się skarżyć. Cichym, cierpliwym trzeba być!

GOTTWALD: Ach, mnie ciężko!

DIAKONISA: Że już zbawiona?

GOTTWALD: Że mi uwiedły kwiaty dwa...

DIAKONISA: Gdzie?

GOTTWALD: Dwa fiołki, które tu, w książce mam. To są umarłe oczy mej Hanusi.

DIAKONISA: Odkwitną one tam, w Bożym ogrójcu!

GOTTWALD: Długoż mam jeszcze, Panie, pielgrzymować po tej łez dolinie?

*(zmienia głos, dobywa nuty i z rosnącym zainteresowaniem się mówi)*

Jakże się siostrze zdaje? Tu najpierw w domu myślę odśpiewać z dziećmi chorał: „Jezu, Tyś nadzieja moja...”

DIAKONISA: Tak. To jest piękny chorał, a Hanusia Mattern była dzieckiem wierzącem.

GOTTWALD: A tam, na cmentarzu, odśpiewamy później: „Już mnie puście...”

*(złucha zaczyna intonować, lekko wybijając takt na książce ręką)*

Już—mnie—puść—cie—z ziemi pro—ga,

Że—bym—mo—gła—uj—rzyć Boga.

*(dzieci wtórzą złucha. Gottwald urywa i zwraca się do nich)*

Dzieciaki, a ciepło wy odziane? Bo to tam na cmentarzu będzie zimno, bardzo zimno! Pójdźcie tu bliżej!

*(DZIECI wchodzi i obstępują uroczyście łóżko)*

Patrzcie, jaka piękna po śmierci ta mała droga dziewczynka! W łachmanach za życia chodziła, a teraz na niej szaty jedwabne. Boso po drogach biegała, a teraz ma szklane trzewiczki. Wkrótce zamieszka w złotym zamku i codzień pieczeń jeść będzie. Tu musiała zimnymi kartoflami żyć, i jeszcze ich nie miała dosyta. Nazywaliście ją łachmaniarką, a teraz ona będzie królewną. Więc, jeśli jej które z was co zawiniło, a chce ją przeprosić, niech zrobi to zaraz, bo inaczej powie ona o krzywdzie swej przed Bogiem i źle się będzie takiemu działo.

MAŁY CHŁOPCZYK: *(występuje nieco naprzód)* Droga królewno Hanusiu! Przepraszam cię, i nie mów przed Panem Bogiem, żem cię zawsze łachmaniarką nazywał.

RESZTA DZIECI: *(jedno przez drugie)* Przepraszamy cię... bardzo, bardzo!

GOTTWALD: No, dobrze już! Już wam ta biedna Hanusia przebaczy! Idźcież teraz i czekajcie na mnie!

DIAKONISA: Pójdźcie, dzieci! Zaprowadzę was tymczasem do drugiej izdebki i powiem wam, co macie czynić, żeby zostać tak pięknymi aniołami, jak wkrótce Hanusia zostanie.

*(idzie naprzód, DZIECI za nią; drzwi się zamykają)*

GOTTWALD: *(sam przy Hanusi, wzruszony, kładzie u nóg jej kwiaty)* Hanusiu moja droga! Otom ci jeszcze przyniósł bzu trochę... *(klęka u łóżka i mówi głosem drżącym)* Nie zapomnijże ty o mnie w szczęśliwości swojej! *(przyciska, łkając, czoło do jej sukni)* Serce mi pęka, że cię tak żegnać muszę!...

*(słychać głosy. Gottwald podnosi się i przykrywa Hanusię chustką. Wchodzą dwie starsze, czarno ubrane KOBIEТЫ z książkami do nabożeństwa o żółto malowanych brzegach i białymi chusteczkami w ręku)*



I KOBIETA: (*rozglądając się po izbie*) To my tu pierwsze.

II KOBIETA: A nie! Pan nauczyciel już jest. Dzień dobry, panie nauczycielu!

GOTTWALD: Dzień dobry!

I KOBIETA: Musiało to pana bardzo zmartwić, panie nauczycielu! Dziecko było dobre, pracowite, pilne...

II KOBIETA: Czy też to prawda, co ludzie gadają, że niby... sama sobie życie wzięła?

III KOBIETA: (*weszła w czasie rozmowy*) Byłby to grzech ciężki! Grzech przeciwko Duchowi świętemu!

II KOBIETA: Przeciwko Duchowi świętemu? Dla Boga!

III KOBIETA: Powiedział proboszcz, że taki grzech nie może być odpuszczony.

GOTTWALD: A nie wiecie, co powiedział Zbawiciel: „Dajcie dzieciętkom przyjść do mnie!”

IV KOBIETA: (*wchodzi*) Oj, świecie, świecie! A to ci zawieja! Nogi sobie ludzie na nic poodmrażają! Żeby aby proboszcz pośpieszał... Bo tam, na cmentarzu, śniegu więcej, jak na łokieć...

V KOBIETA: (*wchodzi z pośpiechem*) Wiecie wy, ludzie! Proboszcz nie chce jej poświęcić. Nie chce jej w poświęconej ziemi chować!

PLESZKE: (*wchodzi*) N—n—nie wierz—wierz—rz—rzcie, ludzie! Nie! W—w—właśnie, że uuuu proboszcza b—b—b—był pan, taki piękny pan, i po—po—powiedział, że H—H— Hanusia M—Mattern jest św—święta!

HANKE: (*wpada*) Szklaną trumnę niosą!

RÓŻNE GŁOSY: Szklaną trumnę! Szklaną trumnę!

SEIDEL: Jeszcze my tu piękne rzeczy zobaczymy! Jeszcze my się tu doczekamy! Tylko co anioł przez wieś przeszedł. Jak Pana Boga kocham, anioł wielki, jak topola!

U stawu przy kuźni też dwóch siedzi, ale, że są znów małe, jakby, nie przymierzając, dzieci. Albo lżę, albo zgadam, ale tak mi się wszystko widzi, że ta dziewczyna równo czemś inszem była, nie prostą dziadówką.

RÓŻNE GŁOSY: *(między sobą)* Czemś więcej? — Nie dziadówką... Szklaną trumnę niosą... Anioł przez wieś przeszedł!

*(czterej młodzieńcy w biegi przynoszą szklaną trumnę i stawiają nieopodal od łóżka Hanusi. Ludzie przybyli na pogrzeb szepczą z ciekawością i zdumieniem)*

GOTTWALD: *(unosi nieco chustkę, którą Hanusia jest przykryta)* Popatrzcież, ludzie, na tę umarłą!

I KOBIETA: *(zagląda ciekawie i nagle się cofa zdziwiona)* A toć ona ma włosy ze szczerego złota!

GOTTWALD: *(ściągając zupełnie chustę z twarzy Hanusi, otchnionej bladym światłem)* I suknię jedwabną!... I szklane trzewiczki!...

RÓŻNE GŁOSY: Ach jaka piękna! Któż to taki? Kto to może być? Hanusia Mattern?! Hanusia Mattern? Niepodobna!

PLESZKE: Dzie—dzie—dzie—dziewczyna j—j—j—jest święta!

*(czterej młodzieńcy kładą Hanusę ostrożnie do szklanej trumny)*

HANKE: Gadają ludzie, że jej nie będą chować...

I KOBIETA: W kościele mają wystawić...

II KOBIETA: Aż się wierzyć nie chce, że to nie żyje! Toć wygląda, jak życie samo!

PLESZKE: D—dajcie ino—ttak, d—d—d—dajcie ino piórko—ccco jej przed—d—d—d ustami potrzynam! T—t—t—tak! To z—z—z—zobaczmy zaraz, czy—czy je—je—je—jeszcze oddycha, cz—cz—czy—nie!  
*(dają mu piórko, które Pleszke ostrożnie trzyma przed ustami Hanusi)*

PLESZKE: Nie rusza się! Nież—ż—ż—żywa! Ani t—t—tyle w niej życia! (*pokazuje na końcu palca*) Ani krz—krz—krz—ty!

III KOBIETA: Dam jej moją gałązkę rozmarynu! Niech się tam niebożatko ucieszy! (*wyjmuje z książki rozmaryn i w trumnę kładzie*)

IV KOBIETA: To i ja lawendę... (*ten sam ruch*) Niech jej tam pachnie!

V KOBIETA: A gdzież ojciec?

I KOBIETA: Prawda! Gdzież Mattern?

II KOBIETA: (*wzrusza ramionami*) Ach, Mattern! Gdzie ma być? W karczmie siedzi!

I KOBIETA: To on może i nie wie o niczem?

II KOBIETA: Ba! Jak wódkę przed sobą ma, to o świecie nie wie!

PLESZKE: T—t—t—to mu nikt nie p—p—p—powiedział, że trupa w—w—w—domu ma?

III KOBIETA: Co miał kto powiadać? Jak ojciec jest, to powinien sam ze siebie wiedzieć!

IV KOBIETA: Nie chcę ja tam źle mówić o nikim, niech mnie Bóg broni, ale przecie wszystkim wiadomo, kto się dziewczynie do śmierci przyczynił.

SEIDEL: Przecie! Cała wieś wie! Każdy wam to powie! Guz taki miała, że to jak moja pięść!

V KOBIETA: (*uderza dłonią w dłoń*) A co! Już gdzie taki przejdzie, tam trawa nie porośnie, nie!

SEIDEL: Przecie my ją u pana nauczyciela rozdzielali, tom widział. Guzioł, powiadam wam, ludzie, jak moja pięść! Tak cóż? Musiała umierać!

I KOBIETA: Oj, tak, tak! Już jej nikt na sumieniu, niebogi, nie ma, tylko Mattern!

(*wszyscy żywo i z gestami, ale szeptem, mówią ze sobą*)

GŁOSY: Pewno, że nikt inszy!

I KOBIETA: Zbój! Morderca!

**GŁOSY:** *(groźnie przyciszone)* Morderca! Morderca!  
*(słysząc ostry, przenikliwy głos pijacki mularza Matterna)*

**GŁOS MATTERNA:**

Spo—koj—ne—su—mie—nie—

Słod—kie—od—pocz—nie—nie!

*(MATTERN ukazuje się w drzwiach)*

**MATTERN:** Dziewucha! Dziewucha! Gdzie siedzisz, skórka na buty! *(zatacza się u proga)* Do pięciu rachuję, do pięciu czekam, a dłużej nie! Jeden... Dwa... Trzy... i... jeden... to... Dziewucha! Nie czekaj, aż się wścieknę! Tyle ci tylko powiem! Bo jak cię znajdę, kanaljo, a chwycę, to duszę z ciebie wytrzęsę!

*(wpada, zataczając się, na pogrzebników, którzy stoją w zupełnem milczeniu)*

Wy tu czego?

*(cisza)*

Którędyście tu wleźli?

*(cisza)*

Djabli was tu nasłali? Co?

*(cisza)*

Wynoście mi się! Precz! Prędej!

*(śmieje się sam do siebie)*

A to stójcie sobie! Znam ja te sztuki. Tfu! Człowiek trochę palkę zalał, to mu się tak byle co majaczy...

*(śpiewa)*

Spo—koj—ne—su—mie—nie—

Słod—kie—od—pocz—nie—nie!

*(zatrzymuje się)*

Jeszczeście tu?

*(z nagłą pasją oglądając się za czem po izbie)*

Bo co znajdę — chwycę!

*(wchodzi NIEZNAJOMY, w zniszczonym płaszczu ciemnym. Lat ma około trzydziestu, długie, czarne włosy, twarz bladą, z rysami nauczyciela Gottwalda. Kapelusz pielgrzymi)*



*trzyma w lewej ręce, nogi obute w sandały. Znużony jest drogą i okryty pyłem. Wszedłszy, przerywa pijackie krzyki Matтерна, dotykając łagodnie jego ramienia. Mattern odwraca się gwałtownie. Nieznajomy patrzy mu w twarz z powagą i głębokim spokojem)*

NIEZNAJOMY: *(dobrotliwie)* Bóg cię pozdrów, majstrze Matternie!

MATTERN: Czegoś tu wlaźł? Czego tu chcesz?

NIEZNAJOMY: *(z pokorną prośbą w głosie)* Do krwi strudziłem nogi moje w drodze — daj mi wody, ażebym je obmył! Gorącość słońca opaliła mnie żarem — daj mi wina, abym się ochłodził! Nie pożywałem chleba od poranku, od zaczęcia drogi mojej... Łaknę!

MATTERN: A mnie djabli co do tego? To czego się włóczysz po drogach? Pracuj! Do roboty się weź! To będziesz jadł. Ja także pracować muszę!

NIEZNAJOMY: Pracownikiem jestem...

MATTERN: Włóczęgą jesteś! Kto pracuje, nie żebrze chleba!

NIEZNAJOMY: Pracownikiem jestem — bez zapłaty...

MATTERN: Włoczykijem jesteś!

NIEZNAJOMY: *(pokornie, ale przytem nalegająco)* Lekarzem jestem. Potrzebować mnie możesz.

MATTERN: Nie jestem chory! Nie potrzebuję doktorów!

NIEZNAJOMY: *(głosem głęboko wzruszonym)* Majstrze Matternie, opamiętaj się! Choćbyś mi kropli wody nie podał — zbawię cię. I choćbyś mi kęsa chleba nie podał, uzdrowię cię. Tak mi dopomóż Bóg!

MATTERN: Wynoś mi się, póki cały! Ruszaj, skądś przyszedł! Kości w ciele zdrowe mam i twoich leków nie chcę. Rozumiesz?

NIEZNAJOMY: Majstrze Matternie, opamiętaj się! Ja ci sam nogi umyję, ja cię sam winem przedniem

ochłodzę. Ja cię słodkim chlebem nakarmię. Stopę twoją postaw na głowie mojej, a ja i tak uzdrowię cię i zbawię. Tak mi dopomóż Bóg!

MATTERN: *(z hamowaną złością)* No, bo czekam i patrzę, czy ty się wynosisz, czy nie? A jak sam do drzwi nie trafisz, to ja ci drogę pokażę? Tyle ci tylko mówię!

NIEZNAJOMY: *(prostując się z powagą)* Majstrze Matternie! Czy wiesz, co masz w domu?

MATTERN: Czego mi trzeba, to mam. Tylko ty tu niepotrzebny, więc ruszaj precz!

NIEZNAJOMY: *(z prostotą)* Córka twoja jest chora.

MATTERN: Na jej chorobę nie trzeba doktora! Lenia ma, próżniaczysko! To jej choroba. Już ja ją z choroby sam wykuruję.

NIEZNAJOMY: Majstrze Matternie, jako poseł przychodzę do ciebie.

MATTERN: *(drwiąco)* A od kogóż to jegomość w posły do mnie przychodzisz?

NIEZNAJOMY: Od Ojca przychodzę i do Ojca idę. Gdzieś podział dziecię Jego?

MATTERN: A lichy ją wie, gdzie się włóczy! Cóż mnie tam jego dzieciak obchodzi! A on dbał o nią?

NIEZNAJOMY: *(z siłą)* Trupa masz w domu.

MATTERN: *(spostrzega leżącą Hanusię, zbliża się sztywny i niemy do trumny i przypatruje się, mówiąc).*

Skądżeś to wzięła taką suknię? Co? Kto ci to kupił taką trumnę? Co?...

*(silny, tajemniczy szept przebiega w pogrzebowym orszaku. Słychać po wielokroć wymówione z oburzeniem słowo: Morderca!)*

MATTERN: *(zcicha, trzęsąc się)* Przeciem ja cię nie krzywdził! Przeciem cię odziewał! Przeciem żywił...  
*(zuchwale do Nieznajomego)*

Czego ty chcesz ode mnie? Czego ty się mnie czepiasz?

NIEZNAJOMY: Majstrze Matternie! Czy masz mi co do powiedzenia?

*(w gronie żalobnem szept coraz silniejszy, coraz groźniejszy; coraz częściej słychać:*

Morderca! Morderca!)

NIEZNAJOMY: Czyli sumienie nic ci nie wyrzuca? Czyś jej nigdy nocą nie wyrwał ze snu? Czy nigdy pod pięścią twoją nie padła, jak martwa?

MATTERN: *(przerażony, tracąc resztę przytomności)* Niech mnie grom!... Niech mnie tu zaraz jasny piorun trzaśnie, jeśli ja co winien!

*(słaba, modra błyskawica i grzmot oddalony. Głosy i szepty:*

Burza idzie... Jakto? Burza? W zimie? Sam się przeklął! — Dzieciobójca! Sam się przeklął!)

NIEZNAJOMY: *(z dobrotliwem naleganiem)* Czy i teraz nie masz mi nic do powiedzenia, Matternie?

MATTERN: *(z rosnącym strachem)* Kto dzieci swoje kocha, karci je!... Ja dla tej dziewczyny dobroczyńcą byłem! Trzymałem ją w domu, jak własną... A jak była nicpoń, to musiałem bić!

KOBIETY: *(rzucając się ku niemu)* Morderca! Morderca! Morderca! Morderca!

MATTERN: Dziewczyna mnie obełgiwała i oszukiwała... Kradła mnie na każdy dzień...

NIEZNAJOMY: Prawdę powiadasz?

MATTERN: Niech mnie tak skarże Bóg!...

*(w tej chwili w złożonych rękach Hanusi ukazują się kwiatki, owe kluczyki rajskie, z których wynika złotozielony żar... Mularz Mattern zatacza się wtył i patrzy, jak skamieniały, na zjawisko, od zmysłów niemal odchodząc)*

NIEZNAJOMY: Skłamałeś, majstrze Matternie!

WSZYSCY: *(w najwyższem wzburzeniu, jedni przez drugich mówiąc)*

Cud! Cud!

PLESZKE: Aaaa nie mó—nie mówiłem, że dzie—dzie—dziewczyzna święta? A—a—a—a t—ten przeklął się teraz i z ciałem i z d—d—d—duszą!

MATTERN: (rycząc ze zgrozy) Po—wie—szę się!  
(wychodzi, obu rękoma cisnąc sobie skronie)

NIEZNAJOMY: (podchodzi do trumny Hanusi i mówi, zwrócony do obecnych. Ci wszakże cofają się ze czcią od tej wyniosłej i przemawiającej uroczyście postaci) Nie lękajcie się! (pochyla się i ujmując rękę Hanusi, jakby próbując życia, poczem mówi łagodnie) Nie umarła dziewczeczka, ale śpi! (z najgłębszą wewnętrzną, świadomą siebie siłą) Hanusiu Mattern, ja ci mówię: wstań!

(jasne złoto-zielone światło napędza izbę. Hanusia otwiera oczy i zwraca się do ręki Nieznajomego, nie śmiejąc mu spojrzeć w oblicze. Zstępuje z trumny i odrazu pada przed Wskrzesicielem na kolana. Obecnych ogarnia lęk. Uciekają. Z Hanusią zostaje Nieznajomy sam. Ciemny płaszcz spadł z jego ramion; odziewa go teraz biała, złotem lita szata)

NIEZNAJOMY: (łagodnym, miękkim głosem) Hanusiu!

HANUSIA: (w zachwyceniu, głowę pochyla, jak może najniżej) Oto — On!

NIEZNAJOMY: Kto ja jestem?

HANUSIA: Ty!

NIEZNAJOMY: Nazwij imię moje!

HANUSIA: (szepce ze czcią) Święty... święty...

NIEZNAJOMY: Ja znam wszystkie cierpienia i dolegliwości twoje.

HANUSIA: Ty drogi... drogi...

NIEZNAJOMY: Podnieś się!

HANUSIA: Szata twoja bez zmazy, a jam pełna winy!

NIEZNAJOMY: (kładzie prawą rękę na głowie Hanusi)  
Oto odejmuję od ciebie wszelką niskość ziemi.  
(dotyka jej oczu, z łagodną przemocą podniósłszy jej głowę)



Oto żrenicom twoim daję wieczne światło. Przyjmijcie w siebie słońca słońc i zwróćcie się ku słońcu! Przyjmijcie w siebie dzień wieczności, od zórz porannych aż do zórz zachodnich, i od zórz zachodnich aż do zórz porannych! Przyjmijcie w siebie wszelkie światło światła, błękit morza, błękit niebios i zielen łąk — na wieki!

*(dotyka jej uszu)*

Oto daję uszom twoim moc słyszenia milionów anielskich chórów, i milionów sfer brzęących — na wieki.

*(dotyka ust jej)*

Oto rozwiązuję twój język z mowy, co była jako niemowleca, a kładę ci w usta ducha mego i ducha Ojca mego i Ducha świętego — na wieki!

*(Hanusia, drżąc na całym ciele, usiłuje się podnieść, ale jest jakby przygnieciona nadmiarem rozkoszy; wstrząsana łkaniem, płacze cicho i tuli głowę na piersiach Nieznajomego)*

NIEZNAJOMY: Łzami twemi obmywam duszę twoją z prochu i ran ziemi. A stopy twoje wywyższam ponad gwiazdy niebios.

*(przesuwa rękę po schylonej głowce Hanusi i mówi w takt słodkiej, rozbrzmiewającej muzyki)*

*(we drzwiach ukazują się anielskie postacie: duże i małe, chłopięce i dziewczęce, zatrzymują się zrazu nieśmiało u progu, potem wchodzi, wstrząsają kadzielnice, zdobią izbę w kobierce i w kwiaty)*

NIEZNAJOMY:

Królestwo Boże — przedziwny, cudny gród!  
Nie znane lzy tam, ni wojny, ani głód.

*(harfy zrazu zcicha, potem pełnemi tonami)*

Z marmurów ściany, a złotem kryty dach,  
Wino tam rzeką w rubinu płynie skrach,  
W ulicach kwiecie wiosenną roni woń,  
Na wieżach w dzwony anielska bije dłoń,

Majowa zieleń oplata domów szczyt,  
Powój je wieńczy i róż jutrzennych świt;  
Łabędzi białych szeroki, płynny ruch,  
Z szumem się strzępi ich srebrno-dźwięczny puch,  
W powietrze modre niesie je bystry prąd.  
W lazurach grają ich duchy stąd i stąd  
I wiążą w zorzach girlandy białych szarf,  
Trzymając pióra, jak struny złotych harf,  
Na Sion patrzą, na ziemię, na toń mórz —  
A ziemia płonie purpurą młodych róż,  
A w zieleń leśną śnieżysty kryje kwiat;  
Tam święci chodzą w białości swoich szat.  
W ogromnem morzu szum wina zamiast wód,  
A święci idą wśród szumu tego w bród,  
A lazur morza i piany srebrnej blask  
Obmywa pierś ich chryzmatem Bożych łask —  
A święci idą wskroś morza, aż na brzeg,  
A krew Chrystusa wybiela ich nad śnieg!

*(Nieznamy zwraca się do aniołów, którzy ukończyli swą pracę; zbliżają się z nieśmiałą radością i otaczają półkrygiem Hanusię i Nieznanomego)*

#### NIEZNAJOMY:

Z lnów co najcieńszych weźcie tkanek białą,  
Gołąbki moje i turkawki moje,  
Nakryjcie ono ubożuchne ciało,  
Zmrożone zimnem, palone przez znoje!  
Lekko, by iskry nie zgasić w niem życia,  
Na wonne wzgórze i na słodkie pasze  
Unieście w ciszy i bez skrzydeł bicia  
Przez blask miesięczny strwożone to ptaszę,  
Przez kwietne błonia, przez rajskie ogrody  
W świątyni ją mej powiedźcie ochłody!

*(mała pauza)*

Tam ją na puchy połóżcie łąbędzie  
I strumień żywy, co srebrną nić przedzie,  
W alabastr lejcie z mlekiem antylopy  
I z winem przedniem, by obmyć jej stopy!  
Gdzie raj się kwieci i woń śle w niebiosy,  
Jaśminy łąmcie i bzy, pełne rosy,  
I deszcze na nią strząśnijcie perłowe,  
I róż balsamem owiejdzie jej głowę!  
Zaś weźcie chusty jedwabne i drogie,  
Jak płatki lilji białej, i szumiące  
Wino jej dajcie, co błyszczy, jak słońce!  
Leśne poziomki w jutrzennych kolorach,  
Maliny, słodycz sączące po borach,  
Wonny ananas, puszyste brzoskwinie  
I granat, w którym sok purpurą płynie,  
I pomarańcze, palące się złotem,  
Na srebrnych misach podajcie jej potem!  
Niechaj jej wargi orzeźwi radosny  
Darów mych przepych wieczystej mej wiosny!  
Niech się i wzrok jej rozkoszą upoi —  
Roztulcie czasie stubarwnych powoi  
Na malachitów łąk świeżych kobiercu!  
Wskroś niezabudek o złotem niech sercu,  
Wskroś tulipanów, narcyzów niech kroczy  
Pod drżącym cieniem palmowych przezroczy,  
A wszystkie barwy i blaski niech dwoi  
Lustrzany strumień, co wiosnę mą poi!  
Na pola maków, rozkwitłe rumieńcem,  
Obróćcie oczy sieroty splakane,  
Gdzie aniołowie igrają w swej krasie,  
I gdzie Baranek bez zmazy się pasie!  
Niech jej w powietrzu przesłodka woń dyszy!

CHÓR ANIOŁÓW:

Niesiemy cię — niesiemy lekko, w ciszy!...

— Hosanna — przez niebios próg!...

— Hosanna — przez niebios próg!...

(w czasie anielskiego śpiewu scena zaciemnia się. Śpiew ginie w mrokach coraz dalszy, słabszy...)

(po chwili czyni się jasno, i znów widać izbę w domu ubogich, a w niej wszystko tak, jak było przed ukazaniem się pierwszego widzenia. Hanusia leży w łóżku, jako biedne, chore dziecko. Dr. Wachler pochylony nad nią z stetoskopem. Diakonisa trzyma świecę, patrząc na doktora w trwożliwym oczekiwaniu. Wreszcie śpiew milknie zupełnie)

DR. WACHLER: (prostuje się i mówi) Masz słusność, siostró: umarła.

SIOSTRA MARTA: Umarła?

DR. WACHLER: (przytwardza smutnie ruchem głowy) Umarła.

K O N I E C .





409710

I



- Nr. 44. J. Kochanowski: „GRZECKIE”  
 „ 45. A. J. „  
 „ 46. A. J. „  
 „ 47. J. K. „  
 „ 48. K. J. „  
 „ 49. K. J. „  
 „ 50. J. I. „  
 „ 51. A. I. „  
 „ 52. K. U. „  
 „ 53. J. G. „  
 „ 54. J. K. „  
 „ 55. A. I. „  
 „ 56. St. „  
 „ 57. A. J. „  
 „ 58. J. S. „  
 „ 59. K. F. „

**ANTYKWARIAT**



6-  
 E \* 340482  
 XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

DSŁÓW  
 IANSE“  
 ETY  
 ŚCI I RO-  
 ŚCI POLA-  
 MROCZKA“  
 ILŁOWNA“  
 DOWA“  
 GŁĘBIAMI“  
 BRACI WY-

- GNANOW“  
 „ 60. J. Słowacki: „MINDOWE“  
 „ 61. G. Carducci: „ODY BARBARZYŃSKIE“  
 „ 62. Z. Kaczkowski: „OLBRACHTOWI RYCERZE“  
 „ 63. Z. Kaczkowski: „OLBRACHTOWI RYCERZE“  
 „ 64. Z. Kaczkowski: „OLBRACHTOWI RYCERZE“  
 „ 65. Z. Krasiński: „PRZEDŚWIT“  
 „ 66. Kl. z Tańskich Hoffmanowa: „DZIENNIK  
 FRANCISZKI KRASIŃSKIEJ“  
 „ 67. J. Kochanowski: „PSAŁTERZ DAWIDÓW“  
 „ 68. W. L. Ańczyc: „TYRTEUSZ, UCZTA WY-  
 ZWOLEŃCA“  
 „ 69. K. Przerwa-Tetmajer: „KSIĄDZ PIOTR“  
 „ 70. M. Czajkowski: „WERNYHORA“  
 „ 71. „  
 „ 72. J. Słowacki: „MARJA STUART“  
 „ 73. Molier: „SKĄPIEC“  
 „ 74. J. A. Kisielewski: „KARYKATURY“  
 „ 75. L. Staff: „SNY O POTEDZE“  
 „ 76. W. Shakespeare: „JULJUSZ CEZAR“  
 „ 77. „  
 „ 78. Z. Krasiński: „PSALMY PRZYSZŁOŚCI“  
 „ 79. J. G. Lord Byron: „KORSARZ“  
 „ 80. Molier: „MIZANTROP“  
 „ 81. S. Goszczyński: „KRÓL ZAMCZYSKA“  
 „ 82. Ajschylos: „PROMETEUSZ SKOWANY“  
 „ 83. I. Krasicki: „BAJKI I PRZYPowieści“  
 „ 84. J. Keats: „HYPERJON“

- Nr 85. J. I. Kraszewski: „CHATA ZA WSIĄ” T. I.  
 „ 86. „ „ „ „ „ „ T. II.  
 „ 87. Sofokles: „ANTYгона” „ 109710  
 „ 88. Eurypides: „IFIGENJA W AULIDE”  
 „ 89. J. Słowacki: „MAZEPA”  
 „ 90. Laroche Foucauld: „ROZWAŻANIA I UWAGI MORALNE” I  
 „ 91. Lenartowicz: „ZE STARYCH ZBROIC”  
 „ 92. Shelley: „EPIPSYCHIDJON”  
 „ 93. Kalidasa: „ŚAKUNTALA”  
 „ 94. Górnicki: „DWORZANIN POLSKI”  
 „ 95. W. Pol: „PIEŚNI JANUSZA”  
 „ 96. Wł. St. Reymont: „SPRAWIEDLIWIE”  
 „ 97. W. Shakespeare: „MAKBET”  
 „ 98. J. I. Kraszewski: „O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKOWNIE”  
 „ 99. Calderon: „KSIAŻE NIEZŁOMNY”  
 „ 100. W. Pol: „PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ”  
 „ 101. Fr. Zabłocki: „... CYK W ZAŁOTACH”  
 „ 102. I. Krasicki: „MONACHOMACHJA I ANTY-MONACHOMACHJA”  
 „ 103. Molier: „UCZONE BIAŁOGŁOWY”  
 „ 104. Ajschylos: „ORESTEJA” — Cz. I. „AGAMEMNON”  
 „ 105. I. Krasicki: „MYSZEIS”  
 „ 106. Sofokles: „EDYP KRÓL”  
 „ 107. St. Witkiewicz: „NA PRZEŁĘCZY”  
 „ 108. Fr. Nietzsche: „NARODZINY TRAGEDJI”  
 „ 109. J. Korzeniowski: „KOLLOKACJA”  
 „ 110. Racine: „FEDRA”  
 „ 111. Małczewski: „MARJA”  
 „ 112. Molier: „TARTUFE” CZYLI „ŚWIĘTOSZEK”  
 „ 113. T. Lenartowicz: „LIRENKA”  
 „ 114. M. Czajkowski: „STEFAN CZARNIECKI T. I.  
 „ 115. „ „ „ „ „ „ T. II.  
 „ 116. Molier: „MIESZCZANIN SZLACHCICEM”  
 „ 117. J. Korzeniowski: „TADEUSZ BEZIMIENNY”  
 „ 118. T. Lenartowicz: „BITWA RACŁAWICKA”  
 „ 119. Barvka: „Z CHŁOPA KRÓL”  
 „ 120. H. Ibsen: „WRÓG LUDU”  
 „ 121. T. Lenartowicz: „BRANKA”  
 „ 122. Wł. Łoziński: „SKARB WATAŻKI”  
 „ 123. Ajschylos: „ORESTEJA” — Cz. II. „OFIARY”  
 „ 124. T. Lenartowicz: „ZACHWYCENIE” „BŁOGOSŁAWIONA” „ŚWIĘTA PRACA”  
 „ 125. Wł. Łoziński: „MADONNA BUSOWISKA”  
 „ 126. Ajschylos: „ORESTEJA” — Cz. III. „ŚWIĘTO POJEDNANIA”  
 „ 127. Wł. Łoziński: „OPOWIADANIA IMC PANA WITA NARWOJA”  
 „ 128. Gerhart Hauptmann: „HANUSIA”.

DALSZE TOMIKI W DRUKU